№ 29 (Rok Czwarty.) MAGAZYN POWSZECHNY. (Drugie Półrocze.) 1837.



PILIK (*Trogon.*)

Wytrwałym poszukiwaniom teraźniejszych badaczów przyrodzenia, tak francuzkich, jako też angielskich i niemieckich, winni jesteśmy znajomość licznych gatunków ptastwa, stanowiących rodzaj Pilikiem *(Trogon)* zwany.

Ptaki, do tego rodzaju należące, mieszkańcami są w ogóle krajów tylko gorących: jakoż większa liczba gatunków przebywa w Ameryce południowéj, Indyach wschodnich i na przyległych im wyspach Cejlonie, Jawie i Sumatrze;

jednego zaś tylko gatunku ojczyzną jest Afryka. Wszystkie należą do ptaków, które świetnością barw piérza swojego, pomiędzy innémi się odznaczają; przytém, rozmaitość i uderzająca sprzeczność w połączeniu kolorów, niemniéj się przyczyniają do nadania im okazałéj powierzchowności: znajdziemy w nich najżywszy pons z czarną, a z zielonością ciemno-brunatną połączoną barwę. Nogi ich do łażenia są ukształcone, to jest, dwa palce w nich naprzód, a dwa drugie ku tyłowi się zwracają: dla tego też należą do rzędu *ptaków łażących (scansores)*, do którego papugi i dzięcioły odnosimy. Dziób mają gruby, daszkowaty, przy końcu ściśniony a u brzegów nierówno-ząbkowany: z powodu tego ostatniego charakteru, rodzaj ten mieści się w pokrewieństwie *zębato-dziobych (serrati)*. Pomimo świetności opierzenia, w ogóle jednak, postawa ich nie jest kształtną; ciało mają pełne i okrągłe, głowę wielką, skrzydła krótkie kończyste; ogon zwykle długi, mocno przycięty, i tylko u niewielu, jak np. u pilika indyjskiego *(trogon indicus)* przy bardzo znacznéj długości, wązko klinowaty. Piérzem gęstém, miękkiém, i dużém odziane, piliki daleko większémi się wydają aniżeli są w istocie. Przebywają zdala od mieszkań ludzkich w gęstwinach lasów samotnie. Są bardzo ciężkie i ospałe; dla tego też zasiadłszy na gałęzi drzewa, długie godziny nieruchomie przepędzają; i tylko kiedy niekiedy znak życia dają jękliwym krzykiem, który w czasie wabienia się częściéj niż zwykle powtarzają. W dzień obojętne na wszystko co się w około nich dzieje, tak są niebaczne, iż siedzących na drzewie bardzo blisko podejść, a nawet i kijem zabić łatwo. Blasku słonecznego oczy ich znieść niemogą; dla tego też tylko o zmroku być czynnémi, i o pożywieniu myśléć zaczynają; pokarm ich stanowią owoce, rozmaite owady i ich gąsiennice. Piliki po większéj części obdarzone są lotem bystrym lecz krótkim; a uganiając się za ulatującymi owadami z niezwykłą ścigają je szybkością; te zaś z nich, którym długie piérze w locie zawadza, żyją prawie wyłącznie samémi tylko owocami. — Jak inne ptastwo łażące, a mianowicie papugi i dzięcioły, tak też i piliki gnieżdżą się w drzewach wypróchniałych, które są siedzibą gromadnego owadu. Młodo wylęgłe z jaja zupełnie piérza są pozbawione; i to, zaledwie po upływie dwóch lub trzech dni czasu, pokazywać się na nich zaczyna. *Amerykańskie piliki*, a szczególniéj samcy, mają grzbiet metalliczno-zielony, spód ciała szkarłatny, lub też wysokiéj żółtéj barwy; sterówki ogonowe pod spodem po większéj części są biało i czarno upstrzone. *Pilik indyjski*, ma dziób dłuższy i silniejszy, a ogon klinowato-przedłużony; oczy jego są pierścieniem świetnéj barwy obwiedzione; z wiérzchu jest brunatny, pod spodem jasno-czerwony. *Afrykański pilik*, do amerykańskiego bardzo podobny. Pomiędzy wszystkiémi jednak gatunkami, *pilik świetny*, jest najozdobniejszy; mieszka w Mexyku południowym, grzbiet ma barwę złoto-zieloną z połyskiem metallicznym, i podobneż piérze w długim ogonie. Do niego się zbliża *pilik pawiasty*, mieszkaniec brezylijski, z tą różnicą, iż niéma tak długich piór w ogonie. W ogólności w pilikach, jak we wszelkiém inném ptastwie, samice nie tak świetnie są ubarwione, i zbywa im na tym połysku metallicznym, jakim się samce odznaczają. Dawni mieszkańcy Mexyku używali pojedyńczych piór ogonowych tego ptaka do ubioru głowy; z grzbietów zaś i podbrzusza jego zdjęte skórki, pozszywane razem z podgarlami tukanów, tak pod względem świetności barwy, jako też i jéj rozmaitości, stanowiły bardzo piękne kobierce. Dotąd jeszcze osobliwości tego rodzaju, znajdują się w muzeum Drezdeńskiém.

NOWE DZIEŁO.

Wyjątki z nowoczesnych poetów Polskich, tłómaczone na język Litewski, z przydaniem kilku słów o języku i literaturze Litewskiéj. Wilno, nakładem tłómacza, w tłoczni B. Neumana 1837. — w 12ce str. 73.

Dla miłośników i znawców Litewskiéj mowy niemałą sprawi przyjemność niniejsza książeczka, służąca za dowód, iż najdelikatniejsze uczucia przez poetów najpiérwszych opiewane, oddać się mogą wyśmienicie, w języku, który już od wieków stał się samego tylko gminu i kmiotków własnością. Pan L. A. Jucewicz przełożył z polskiego: ballady: Trzech Budrysów, Świteziankę, Brankę Litwina, Co mi tam? Na czele swego przekładu umieścił Kilka słów o języku i literaturze Litewskiéj, które jako nader interessujące, w większéj części tu wypisujemy, tym chętniéj, iż sama książeczka, podobnie jak tyle innych w Wilnie drukowanych, za rzadkość bibliograficzną uważana bydź może, gdyż obojętność księgarń warszawskich jest przyczyną, iż o wielu dziełach za obrębem Warszawy drukowanych całe nawet niewiemy, lub wiadomość trafowi tylko winni jesteśmy. W któréj księgarni

naprzykład znaleść *Poezye Alexandra Grozy*, wydane w Wilnie drukiem Józefa Zawadzkiego, z których piękne wyjątki czytaliśmy w Tygodniku Petersburskim? Jakże nierychło przychodzą *Wizerunki i roztrząsania naukowe!*— Ale wróćmy się do języka i literatury Litewskiéj.

Wszystkie światłe narody od najdawniejszych zacząwszy wieków, (mówi P. Jucewicz) olbrzymie w doskonaleniu mowy swojéj poczyniły postępy. W jednéj tylko Litwie, już to z przyczyny rozmaitych okoliczności, już to z niedbalstwa, dotychczas jeszcze ta gałęź umysłowéj pracy, odlogiem leży. W samych początkach ojcowie nasi Litwini, mało dbali o oświecenie, i w swoich traktatach z ościennemi mocarstwy, woleli używać języka niemieckiego (1), łacińskiego (2) lub ruskiego (3) niżeli pisać własnym. Po nawróceniu do religii chrześciańskiéj i złączeniu się z Polską, język litewski przestał być językiem dworu, a nawet po większéj części i narodu, gdyż księżom przybyłym dla nauczania prawd wiary, nieświadomym naszéj mowy, łatwiéj było ogłaszać je w polskim, niż samym krajowego uczyć się języka. Rodacy zaś chcąc się przypodobać nowemu rządowi, przejęli jego zwyczaje i mowę, a zaniedbali własną. Tym więc sposobem język litewski pozostał martwym i od samego tylko pospólstwa używanym. Obudzał się wprawdzie zapał do litewskiego języka, szczególniéj w późniejszym czasie, w wielu nieśmiertelnéj pamięci godnych mężach — ale ci nie byli tak szczęśliwymi, aby mogli na całą massę ludu wpływ swój wywierać.

Nie wiem czém się to dzieje, że ten język tak harmonijny, tak poprawny i pod względem grammatycznym doskonały, jak tego w wielu miejscach znajdujemy dowody: tak mało dotąd znalazł miłośników? Rzecz jeszcze więcéj podziwienia godna, jakim on sposobem, zostawiony samemu tylko gminowi, bez piśmiennych pamiętników, do takiéj przyszedł doskonałości, jaką w samych tylko językach starożytnych natrafić możemy? „Każdy język (powiada Czacki), każda nauka ma dzieciństwo, wzrost i dojrzałość." Do języka jednak litewskiego, to zdanie żadnym sposobem zastosowaném być nie może. Jest on dziś takim samym, jak był w początku swego powstania, żadnym, najmniejszym odmianom nie uległ, donośny i dziki jak echo owych lasów, w których się wylęgnął, gwarliwy jak owe biesiady przy rozpalonych ogniskach po zwycięztwie. A że jest zdolny do poezyi, do wydania dobitnie wszystkich poruszeń i uczuć duszy; mowić nie widzę potrzeby. Dowiódł tego gruntownie, nieoszacowany miłośnik rzeczy ojczystych ś. p. prałat katedr. Wileński, członek b. Warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk ks. *Ksawery Bohusz*. Pragnę tu tylko zastanowić się pokrótce nad wyliczeniem dzieł celniejszych, które w języku litewskim na widok publiczny wyszły. Szczupła jest ich liczba, bo mało też jeszcze dotąd, w tym przedmiocie było pracowników. A im mniéj ich znaleść można, tym większa dla nich chwała, że pomimo powszechnéj obojętności, pomimo uprzedzeń i lekceważenia mowy litewskiéj, oni jedni potrafili pokonać wszystkie przeszkody, potrafili wznieść się nad pospolitą sferę wyobrażeń, i tryumfować nad uśpieniem ziomków. Są oni jak te czułe i troskliwe matki, które obumarłemu jedynemu swojemu dziécięciu starają się przywrócić życie. Dopóty one nieprzestają się trudzić, ogrzéwać skrzepłe jego ciało i własném tchnieniem wlewać tchnienie i siły, nim niemowlę nie otworzy oczu, nim nieobdarzy uśmiéchem i wdzięczném kwileniem nie rozraduje ich serca!

Gorliwość o rozszerzenie światła objawionéj wiary pomiędzy niższą klassą mieszkańców Pruss litewskich, natchnęła wielu znakomitych mężów do zajęcia się wytłumaczeniem na język ojczysty ksiąg Pisma świętego. Skutek odpowiedział ich szczérym chęciom, i imiona prawdziwie gorliwych o dobro powszechne protestańskich pastorów, *Bretkunasów*, *Chylińskich*, *Bitnerów* i *Kwandtów*, w dziejach literatury litewskiéj na samym czele, jako najpiérwszych litewskich pisarzów zaszczytnie jaśnieją. A imie Wilhelma Igo króla Pruskiego, jako miłośnika nauk, i dbałego o umysłowe i moralne ukształcenie swojego narodu, do najodleglejszéj przejdzie potomności. Za jego panowania każda prawie wieś większa, obowiązana była utrzymywać szkołę, a w Tylży przy tamecznéj szkole powiatowéj naznaczony był osobny nauczyciel języka litewskie-

(1) Z krzyżakami. Są nawet niektóre umowy Witolda z Władysławem Jagiełłą, pisane po niemiecku. Autentyczne ich kopije znajdowały się w książnicy Poryckiéj, jak świadczy Tadeusz Czacki w dziele o Litewskich i Polskich prawach w tomie I. na karcie 47 przyp. pod Nrem 261.

(2) Łacińskie z Polską i Anglią. Pod artykułem o datach przywilejów, i zapisów, przywodzimy jak Kiejstut i Olgierd poganie, w tranzakcyach publicznych, pozwalali pisać święta katolickie, i lata ab incarnatione Domini. Wszelako na pieczątce Olgierda przy traktacie z Kazimierzem Wielkim 1366 roku jest napis ruski; co dowodzi wyraźnie używania ruszczyzny w Litwie za pogaństwa. (T. Czacki o Lit. i Pol. praw. T. I.)

(3) Z Książętami Ruskiemi, i w jednym traktacie z Kazimierzem Wielkim 1366 r. (Tadeusz Czacki.)

*

go (4). W samym nawet Królewcu przy uniwersytecie, Seminarium Litewskie otworzył (5). Temu to zakładowi winniśmy wielu uczonych mężów: *Donelejtisa*, *Ruhiga*, *Mielcke* i t. p.

Lecz nie u samych tylko jednych protestantów byli gorliwi wiary Chrystusa rozsiewacze i wiejskiego ludu przyjaciele. Jest i u nas w kościele Rzymskim mąż, wielki, szlachetnego rodu Litewskich monarchów potomek, mąż, co na posłudze ołtarza sędziwéj doczekał starości, z powołania, świętości, z samego nieledwie wejrzenia (że tu użyję słów jednego z polskich pisarzy), z tych srebrnych włosów co skroń jego patryarchalną wieńczą i na ramiona spadają; czcigodny kapłan.— To Żmudzkiéj owczarni pasterz, *Józef Arnolf* książe *Giedroyć!* Jemu przekład ksiąg Nowego Testamentu na język ojczysty winniśmy (6).

Oprócz tłumaczów Pisma ś. ma jeszcze literatura Litewska i innych w kościele Bożym zasłużonych mężów, którzy ogłaszając w języku ojczystym słowo Boże wiernemu ludowi, i palmą kaznodziejskiéj chwały się okryli, i imie swoje, w kartach litewskiéj literatury, na wieczną pamiątkę najodleglejszym potomkom zapisali.

Między innymi przodek trzyma, nieśmiertelny tłumacz Postylli Jakóba Wujka, ks. *Mikołaj Dauksza* kanonik katedry Miednickiéj (Żmudzkiéj). Przekład jego jest wzorowy, cała prostota, cała naiwność i biblijne wyrażenia oryginału z dziwną łatwością i wiernością są wykonane.— Drugi równie wielkie mający w ojczystéj literaturze zasługi jest ks. *Konstanty Szyrwid* S. J. znakomity litewski filolog i kaznodzieja. Styl jego kazań jest poprawny, język zawsze czysty i od wszelkiéj obczyzny wolny. Szkoda tylko że one dzisiaj są nader rzadkie. Życzyć należy aby którykolwiek z gorliwych naszych litewskich biskupów, dla pożytku wiejskich kapłanów, nowe wydanie zrobić rozkazał.

Co się zaś tycze poezyi litewskiéj, pieśni ludu uważać potrzeba za najpiérwsze w tym rodzaju utwory. A ponieważ im osobny kiedyś artykuł poświęcę; tu więc zastanowię się tylko pokrótce nad niektórymi poetami, którzy na wyższy ton nastroili swą lutnię.— Na ich czele jest *Donelejtis* (zmarły 1780 r.) prawdziwie wielki narodowy poeta. Poema jego pod tytułem: Cztéry pory roku, jest najwierniejszym obrazem obyczajów, zwyczajów i zatrudnień wiejskiego ludu. W niém, jak w zwierciadle maluje się narodowy charakter, jego moralne i fizyczne ukształcenie. Jest to poezya rodzinnych pól, łąk, rodzinnych strumieni. Czytając Donelejtisa *Cztéry pory roku*, zdajesz się zupełnie być przeniesiony pomiędzy poczciwych naszych wieśniaków. Jest to prawdziwa—oryginalna poezya ludu! Wszystkie w niéj osoby są ze stanu wiejskiego. Poeta z niemi żyje, obcuje, jest uczestnikiem ich roboty, ich odpoczynku, ich biesiad, i nigdy nie wychodzi za granice chatki rolnika. I tylko kreśląc sielską szczęśliwość, niekiedy dla samych kontrastów dotyka obyczaje wyższego stanu.— Professor teologii i kaznodzieja D. L. J. von Rhesa, wydał to poema wraz z tłumaczeniem na język niemiecki w Królewcu 1818 roku (7).

Tenże szanowny tłumacz *Rhesa* jest w literaturze naszéj znajomy jako jeden z najpiérwszych i najznakomitszych litewskich filologów i jako wydawca pieśni gminnych *Dajnos*. Niektóre z nich, umieścił *Teodor Narbutt* w dziele swoim p. t. Dzieje starożytne Narodu Litewskiego.

Również wielkie położył zasługi w ojczystéj poezyi *Szymon Staniewicz*. Bajki jego *Ajtwaros*, i Koń i niedźwiedź *(Arklis yr Meszka)*, noszą cechę oryginalności, wielkiego talentu i znajomości litewskiéj przyrody. Staniewicz duszą i sercem Litwin! najlepiéj pojął duch i charakter krajowy. Wszystko w nim własne, pierwotne, litewskie! Co za wysłowienie! jakie szczęśliwe obrazy! Ta Niewiaża przy Czerwonym Dworze, tocząca swe nurty do Niemna, to rozpamiętywanie *(minieimas)* konia, ten niedźwiedź, są do najwyższéj poetyckiéj godności wzniesione. A ówże znów rolnik, pokazujący swemu sąsiadowi, swój dobytek, swoje do uprawy pola, potrzebne sprzęty i mówiący: *oto moje Ajtwaros!* nie jest że to obraz pracowitego i zamożnego litewskiego wieśniaka *(ukinikas)*. Niech tylko P. Staniewicz nie zaprzestaje coraz daléj postępować

(4) Bey der gelehrten Provinzialschule. Rhesa, Gesch. des litth. Bibel str. 37.

(5) Obacz Dziennik Wileński na rok 1828. T. 5.

(6) Nowy Testament Litewski tłómaczony przez Józefa Arnolfa ks. Giedrojcia, drukowany nakładem Towarzystwa Biblijnego, następujący nosi tytuł: Naujas istatimas Jezaus Christaus Wieszpaties musu, Lietuwiszku ležuwiu iszgulditas par Jozapa Arnulpa Kunigajkszti Giedrajti Wiskupa Ziemajciu, ženklinika S. Stanislawo. Iszspaustas pas Kunigus Missionarius, Wilniuje 1816 w 4ce, str. 389 nieliczb. 12.

(7) Poema Donelejtisa, wydane przez Rhesę, następujący nosi tytuł: Das Jahr in vier Gesängen, ein ländliches Epos aus dem Litthauischen des Christian genannt Donalejtis in gleichem Versmaas (hexametrem) ins Deutsche übertragen von D. L. J. Rhesa Prof. d. Theol. Königsb. 1818 — w 8ce.

w swoim zawodzie, który tak świetnie rozpoczął, a ziomkowie i obcy godnie ocenią jego prace. Bo takie dzieła jednają zalety we wszystkich literaturach Europy. — Wiele takoż jesteśmy P. Staniewiczowi winni za jego wydanie pieśni gminnych litewskich, które on na Żmudzi w przestrzeni między Widuklami i Erżwiłkiem zebrał. Zachowanie bowiem dawnych pamiątek, które już powoli zaczynają się zatracać, czyni największą dla narodu przysługę.

Do rzędu poetów litewskich, policzyć należy jeszcze i *Dyonizego Paszkiewicza*. Mąż ten (przed kilku laty zmarły) był jednym z najpiérwszych miłośników litewskiéj literatury, i najgorliwszym o chwałę języka i literatury Litewsko-Żmudzkiéj starownikiem. On to zbiérał zewsząd troskliwie pamiątki starożytne, i w swoim dębie *Baublisie* składał (8). A wszystkie chwile całego swojego życia poświęcał ułożeniu Litewskiego słownika (9), tłumaczeniu Eneidy Wirgiliusza, i pisaniu wiérszy, do których szczególniéj w rodzaju satyrycznym i epigrammatów wielki miał talent. Nadedrzwiami Baublisa następujący położył napis:

Czion kita karta pagonis pjow iwoszka,
O dabar giwen Dyonizas Poszka.

Wiadomo bowiem z litewskiéj historyi, że Litwini oddawali cześć niektórym drzewom, składali przy nich bogom ofiary, i posoką zwierząt skrapiali korzenie; wieść nawet niesie, że i przy Baublisie za czasów pogańskich zarzynano kozy na ofiarę: o tém więc zdarzeniu, poeta w piérwszym wierszu spomina.......

Ksiądz Drozdowski również niepospolite w poczcie litewskich poetów zajmuje miejsce. Odgłos jego pieśni nabożnych rozlega się dzisiaj po wszystkich prawie kościołach Litwy, a pieśni świeckie, malujące obraz życia wiejskiego są w ustach wielu osób rolniczego stanu.

Otóż prawie i wszyscy poeci litewscy.— Co się zaś tycze prozaików; tych nierównie większa jest liczba. Między innymi celniejsi są: ks. *Józef Rupejko* (kanonik Żmudzki), *ks. C. Niezabitowski*, wyżéj spomniany *Szymon Staniewicz*, *ks. Gojlewicz*, i *Kajetan Niezabitowski* (10).

Ks. Rupejko znany jest w naszéj literaturze jako wzorowy tłumacz dzieła *Jana Chodźki* p. t. *Pan Jan ze Świsłoczy*. Najczulszą winniśmy mu wdzięczność za upowszechnienie u nas tak pożytecznego pisma. K. Niezabitowski, przełożył dzieło *ks. Kluka: o pszczołach;* inni zaś są godni spomnienia jako autorowie dzieł do nauki i ukształcenia serca młodzieży pożytecznych.

(Dokończenie nastąpi).

(8) Niektóre z nich opisane są przez K. Niezabitowskiego w Dzienniku Wileńskim z roku 1824. (Przyp. Redak.)

(9) Dowiadujemy się z pewnego źródła, iż rękopism ten, testamentem zapisany Kajet. Niezabitowskiemu, przesłany temuż miał być jeszcze w r. 1830, — lecz okoliczności nieprzewidziane zatrzymały w Kownie tenże rękopism, w ręku Adwokata * * *.— Życzyćby należało żeby ten manuskrypt doszedł swojego przeznaczenia, gdyż tym sposobem ostatnia wola ś. p. autora byłaby spełnioną, i literatura litewsko-żmudzka niewątpliwie na tém skorzystać mogłaby. (Prz. Redak.)

(10) O ile nam wiadomo P. Kajetan Lubicz Niezabitowski uczony miłośnik i gruntowny znawca mowy litewskiéj, ma w rękopiśmie: 1. *Historya Litwy i Żmudzi* w 3ch częściach. 2. *Grammatykę języka Żmudzko-litewskiego* — z zastosowaniem do nieco odmiennych dyalektów prowincyalizmu litewskiego, żmudzkiego i prusko-żmudzkiego; tudzież 3. *Słownik polsko-litewski* obejmujący kilkadziesiąt tysięcy wyrazów. Ostatni miał zamiar złożyć w zbiorze książek Towarzystwa przyjaciół nauk Warszawskiego; lecz to nie przyszło do skutku. (Przyp. Redak.)

OLBRZYMIA GROTA W ALPACH NORYCKICH.

W samym prawie środku, bogatych w piękności przyrody Alp Noryckich, gdzie z głęboko zagrzebanych kopalni już starożytni Rzymianie wydobywali stal, rozsiéwającą postrach na dwie części świata, i żelazo do pożyteczniejszych daleko pługów: roztwiéra się Alpejska dolina, w kształcie półksiężyca pomiędzy skalistemi szczyty zawarta. Wejście do niéj zielonym wieńcem opasują lasy, a na lewo, olbrzymi słup skały *Pfaffensteinu*, wznosi się niby dzielny stróż jéj skarbów. Dwa srebrno-przezroczyste, szumiące potoki, *Neuwaldeck* i *Hirszeck-Giesbach*, przerzynają dolinę aż do stóp potężnych gór kruszcowych.

Alpejska łąka ciągnie się przez całą jéj głębię, po obu stronach obwarowaną nagromadzonemi wapiennemi massy. Przez nią wężykiem idzie droga, od stóp stromych, nagich, ogromnych skał *Frauenmauru*, aż do opoki *Bärnloch* zwanéj. Wązka ta górzysta dróżyna, krąży przez gaj jodłowy, tu i owdzie olbrzymiemi najeżony głazy, coraz to bardziéj ku górze stroma, a przy końcu całkiem zawalona zwirem i odłamami kamieni, niezmiernie utrudzającą jest dla wędrowca, nie nawykłego drapać się po skałach. Wąziutka, na

wpół trawą zarosła ścieżka, jest jedynym śladem wyżéj wiodącym; tutaj posępne i pokurczone jodły i grobowe cisy, coraz liczniéj zajmują miejsce zielonych sosen. Tu otwiéra się widok na marmurową ścianę Frauenmauru, i przed zdziwionëm okiem staje potrójna skalna brama, któréj środkowy wielki portyk prowadzi do celu podróży, to jest do groty na rycinie naszéj (str. 232) wystawionéj.

Gdy po długiém drapaniu się przez same zwiry, wędrowiec dostanie się do stóp pochyło sterczącéj opoki Frauenmauru, prowadzi daléj ścieżka, przez wystającą kamienistą wyżynę, aż do wejścia samejże jaskini. Z tego skalistego wiszaru, zaledwie okrytego lekką powłoką murawy, zstępować należy ostróżnie i z natężeniem sił, a szczególniéj strzedz się zawrotu głowy, aby nie spaść w przerażającą głębię, co się wzdłuż tych ścian skalnych rościąga. Tuż przy samémże wejściu, na wązkim skraju opoki, potężna alpejska jodła aż w chmury wierzchołek swój dźwiga. Z podziwieniem staje wędrownik na stopniach téj olbrzymiéj świątyni natury, któréj wejście przedstawia bramę tryumfalną w kształcie nieregularnego łęku. Jestto wstęp do olbrzymiéj groty, która teraz z gotyckiemi swemi sklepieniami i przepysznemi gmachy, stoi otworem przed oczyma podróżnego. W piérwszém podziwieniu, mniema się przeniesionym w przepyszny pałac króla Gnomów. Po obu stronach téj cudownéj groty wybiegają pochyłe szare skały aż do wysokości stóp 400stu, i to w prostych, to krzywych, zbiegając się kątach, tworzą zadziwiające sklepienia i najwspanialsze łuki. Tu i owdzie, w bezładnym szyku stoją słupy, w dziwowzore rozgałęzienia i strzępy odziane. Głęboka cisza panuje w około; chwilami tylko przerywa ją woda, sącząc się kropla po kropli.

Chcąc wejść do komnat i labiryntycznych kurytarzy groty, potrzeba koniecznie zapalić pochodnie. Przy drżącym blasku świateł, widzi się nasamprzód podróżny przeniesionym pod nadzwyczaj śmiało zarzucone sklepienie, w samym środku blisko na pół tysiąca stóp wybiegłe, którego żaden słup nie podpiéra kolossalnego obłęku, z jednéj sztuki nad całym rozpostartego gmachem. I z dołu, i z góry, i z boku, w połamanych promieniach odstrzeliwa blask świateł, i wykrywa oczom patrzących szczegółowe piękności tych niepodobnych do opisania skalnych katakómb. Ściany téj groty, złożone z wiekuistych wapiennych pokładów, wraz ze skałą spojonych, przedstawiają mile urozmaiconą mozaikę. Wilgoć, wciskająca się zewnątrz, kształtuje najosobliwsze inkrustacye i porosty. Oddzielne skał odłamy, w śmiałym nieładzie jedne na drugie powalone, jak gdyby je gwałtowny pęd wody potoczył, zapełniają obszerność pieczary.

Skaliste owe ogromy, zawalające wchodową jaskinię, aż na 100 stóp w głąb' się ciągną; tam coraz zniża się powała, i po łagodnéj pochyłości wiedzie droga do wewnętrznych gmachów groty. Na prawo ukazują się aż dwa wyjścia z pieczary. Te minąwszy, po najeżonéj skałami ścieżce, dostaje się podróżny przez coraz wznioślejsze sklepienie, do drugiéj komnaty tego opoczystego labiryntu, całkiem prawie zapełnionéj jeziorem, mającém 100 stóp długości, i stósowną szerokość. Woda jego chłodna i nieraz w najtęższe letnie upały lodem pokryta, śród tak błogiéj samotni prawdziwie orzeźwiające sprawia wrażenie. Całe ściany téj obszernéj jaskini obleczone są kryształnym lodem, jak gdyby korą jakową, przez który najmniejszą plamkę, najmniejszą skazę spostrzedz można. Ze sklepienia wiszą wielkie i grube stalaktyty, w rozliczne szerząc się gałęzie i najdziwniejsze przedstawiając kształty. W niektórych miejscach kolossalne lodowe słupy spuszczają się od powały, utwierdzają tę skalną komnatę i poszanowanie wrażający nadają jéj pozór. Ściany, sklepienie i podłoga są niby z najczystszego kryształu, i odbijając blask pochodni iskrzą milionami świateł. Skoro tylko oczy przywykną nieco do tego ślepiącego blasku, rozróżniają jakie tylko być mogą najrozliczniejsze obrazy: kolumny, ostrosłupy, piramidy, obeliski, wszystko z najczystszego lodu, który, tu w stérczący pagórek, tam w wyskakujące kolce, owdzie znowu w piękną draperyę, napływa i kamienieje. W głębi widać kaskady i katarakty martwe, które jak się zdaje w chwili najgwałtowniejszego spadku w lód zostały zamienione. Lecz gdy się postawi ostróżnie parę pochodni za lodowym obeliskiem, wówczas to dopiéro mniemamy się przeniesieni w przepyszne ogrody Gnomów, tak cudownie blask ich odbija od iskrzących lodów, to błękitnawo, to zielono, to żółto, i cała jaskinia zdaje się w płomieniach. Wszystkie te cuda są dziełem wody, która nagromadzona z deszczów i stopniałych śniegów, sączy się przez rozpadliny aż do téj groty.

Daléj, coraz wyżéj i wyżéj, postępuje się po mnóstwie kamiennych odłamów, aż do środkowego otworu góry, *Schluef* zwanego, przebitego u samego dołu pobocznéj ściany, przez który przedziérać się trzeba ze schylonem ciałem. Coraz węższe przechody pro-

wadzą pomiędzy massą wapiennych kamieni, kształtów najdziwniejszych, aż do przepaści, głęboko we wnętrze góry sięgającéj, gdzie owa kamienna komnata całkiem się już zamykać zdaje. Tutaj słychać zdala pluskanie wodospadu, który na powierzch sklepienia w piękny staw się rozléwa, i ztamtąd znowu swe fale w głęboką przepaść strąca.

Czwarta kamienna komnata, do któréj schylając się tylko dostać można, i to po chropawéj ścieżce, przerzyna jaskinię w całéj długości, aż do zachodniego jéj otwóru. Wązkie i nizkie wejście coraz się bardziéj rozszerza, i prowadzi nakoniec do wysokiéj, obszernéj groty, zajmującéj 500 sążni obwodu, a któréj długość ledwie za półtory godziny przejść można.

Ciągła przemiana spokojności i niebezpieczeństwa, wdzięku i okropności, w przechodzie tych skalnych podziemi, najodważniejsze nawet serce podziwieniem i trwogą napełnia. To raz trzeba się przedziérać pełzając prawie, to znowu przechodzi się wybiegłe, obszerne gmachy. Tutaj wiodą wązkie, zaledwie na dwa sążnie wysokie przejścia, ówdzie przyjmują nas znowu wielkie, wspaniałe sale, lub zagłębiamy się w przerażające jaskinie, gdzie, tu i tam ze sklepień wiszące skalne odłamy, grożą każdéj chwili zgnieść nas ogromem swego upadku. Tu przed ciekawém okiem przepaść się roztwiéra, tam niezmierzone urwiska opoki wybiegają aż pod szczyt góry, niby samorodne wieże. Owdzie pracowicie wdziérać się trzeba na skalisty pagórek, a z drugiéj znowu strony ułatwiają zejście ręką samejże natury wykute wschody. W jednych miejscach suchą przejść można nogą, gdy w drugich przeciwnie omijać potrzeba pod stopami wytryskujące źródła.

Tutaj już wiekuista noc panuje; tu żadna nie zieleni się roślinka; tu się najmniejsza żyjąca nie porusza istota, prócz zdziwionego wędrowca, co się te podziemia zwiedzać odważa. Ze ścian, duże, ciężkie krople z pluskiem spadają, a w nich słyszeć mniema uderzenia pulsowych żył góry.

Nakoniec przez te niezmierzone obszary prowadzi droga w miejsce, gdzie rozstąpione obie ściany góry, całkiem najświetniéj stykać się ze sobą zdają; jak najciaśniejsze jednak przejście ukazuje się przy samym gruncie przez które jest jeszcze podobieństwo przedrzeć się daléj; lecz dalszy ten postęp jest jednakże z niebezpieczeństwem życia prawie połączony, i niewymowny wstręt obudza. Niezmiernéj wielkości opoka, oderwana od górnéj massy skał, wisi tu chwiejąca i całą przepaść zapełnia; pod jéj to przerażającym ogromem, wędrownik przebywać musi spadziste, kręte i poszczerbione stopnie.

Na ten widok truchleje zwiedzający, i nadzwyczaj wielkiéj potrzeba odwagi, aby przez tę jamę zgrozy, po najchropawszym gruncie, dostać się w głąb' piątéj komnaty, całéj zawalonéj skalistemi odłamy. Ścieżka pnie się teraz górą, przez niekształtne w nieładzie nagromadzone massy opok, coraz to bardziéj stroma; potém, w łagodniejszéj pochyłości, ciągnie się przez 60 stóp blisko, aż do środkowego punktu tego kamiennego labiryntu. Po lewéj stronie, na gładkiéj ścianie skały, postrzega oko liczby i litery.

Górnik styryjski, imieniem Krystyan Hanickl, był piérwszym, który cudowną tę grotę zwiedził dla mineralogicznych badań, i przedsięwzięcie to szczęśliwie dokonał, w lecie, roku 1822.

Ciasnym, 60 blisko stóp długim kurytarzem, po nie jednéj przebytéj trudności, dostaje się wędrownik do przepysznego amfiteatru. Tu kamienne ściany wybiegają pochyło, do niedoścignionéj prawie okiem, zawrót sprawiającéj wysokości, i kolossalne kształtują sklepienie, rozdziérając na północ i południe łękowate arkady, gwałtownie i śmiało w wapiennéj massie wykute, zdające się niejako całe sklepienie niebios dźwigać na sobie. Potężne te słupy, ustawione w owalne i obszernie wydęte półkole, przedstawiają zdziwionemu oku pozór najwspanialszego i najpiękniejszego amfiteatru. Czémże są, w porównaniu z tą czarodziejską pieczarą, wszystkie kopuły i pałace ręką ludzką zbudowane? Prawdziwe naśladownictwa, tak nikczemne i małe, jakiémi zwykle okazują się dzieła ludzkie, porównane z dziełami natury.

Marmurowy ogrom, 40 stóp wysoki, zdaje się w jedném miejscu zagradzać zwiedzaczom drogę. Przebywszy jednak tę zaporę, wkrótce dostaje się do punktu, gdzie wzniosłe sklepienie tak nagle w nizkie przekształca się przejście, iż prawie czołgać się trzeba, aby nie uderzyć głową o wystające i spiczaste najeżenia skały. Droga znowu się staje coraz to bardziéj stroma i opoczysta, i nagle od głównego wejścia w prawo zbacza.

Po tysiąc krokowéj blisko wędrówce, podwyższa się nieco ścieżka, i zdala ukazuje się punkt błyszczący, który w dalszém postępowaniu zmienia się w promienną gwiazdę, następnie w jasną szybę, a nakoniec nie bez wzruszenia, postrzega się podróżny oblany zupełnie dzienną światłością.



To zjawienie się dziennéj światłości, przy wychodzie z tych głęboką nocą okrytych katakómb, niewypowiedziane sprawia wrażenie; a stopniowe oświecenie skał, które, im bliżéj wyjścia, coraz bardziéj stają się jasnemi, najpiękniejszy rzut oka wystawia.

Wychodząc z olbrzymiéj groty, upojone oko wędrowca postrzega cudowny świat Alpejski, jakoby nowo powstający na uderzenie czarodziejskiéj rószczki dobroczynnego Bóstwa; wypoczywa na wzniosłych scenach pełnego przepychu amfiteatru, okolonego na widnokręgu śmiałym wiankiem wybiegłych Alpejskich szczytów, z pomiędzy których, jako złote korony, błyszczą jeszcze ostatniemi promieńmi słońca oblane wiérzchołki Hochschwabu, Ebensteinu, Spitzsteinu, Seesteinu i Kulmsteinu. Na przodzie sceny ciągną się lube, bogate w źrzódła i pastwiska doliny Neuwaldu i Jassingu, a w pośrodku obszary świéżéj zieloności, oblekającéj piérwszą pochyłość Alpejskich grzbietów, tu i owdzie osamotnionemi pastuszemi ożywione chaty; daléj śmiałe skaliste tarasy Langsteinu i Heuschlagmauru, odziane ciemno-zielonym płaszczem brzóz i buków, na których pochyłości malowniczo pasą się nieprzeliczone alpejskie trzody. Jest to zachwycający i nieporównany widok. Przy samém wejściu z groty istnieje niemniéj cudowne zjawisko natury; czyste, potężne, wszelkie udanie przechodzące echo, które najwyraźniéj każdy odgłos pięćkrotnie powtarza. Jeśli w wolnych tonach odezwą się dęte instrumenta, budzi się z głębi dolin, gór i skał tego Alpejskiego amfiteatru, czarodziejsko-melodyjna echowa muzyka, któréj słuchając czujemy się zmuszeni pomimowolnie zawołać: „O Panie, jakże wielkie i mnogie są dzieła Twoje; wszystkieś tak cudownie rozporządził, a cała ziemia pełną jest dobroci Twojéj!"

w WARSZAWIE, w DRUKARNI J. GLÜCKSBERGA, KSIĘGARZA SZKOŁ PUBL., ULICA MIODOWA N. 482.